

NUMER

- 1 -
LUTY
2018

SPRĘŻYNKA



INSTYTUT PRAWA, ADMINISTRACJI I EKONOMII
Uniwersytet Pedagogiczny im. KEN w Krakowie

Czego nie wiesz
o Krakowie?

WYWIADY

dr Małgorzata Kmak

ks. dr n. praw. Rafał
Wierzchanowski

prof. dr hab. Piotr
Tusiński

Jaki wpływ na nasze
życie ma muzyka?

RECENZJA
KSIĄŻKI

SPORT



SŁOWA OD REDAKCJI

„Rób, co możesz, w miejscu, jakim jesteś i z tym, co masz” (Theodore Roosevelt) - takim akcentem redakcja Sprężynki rozpoczyna nowy rok. Zaangażowani w działanie nowo utworzonego Instytutu pragniemy przyczynić się do jego rozwoju oraz podzielić się z Wami wiedzą, której nie sposób pozyskać z książek. Wydając pierwszy numer Sprężynki odciągamy uwagę od obrazu uczelni jako jedynie miejsca nauki. Krótkie spostrzeżenia, wydawane kilka razy w roku akademickim w formie elektronicznej, dostarczają informacji niecodziennych i niebanalnych.

W tym numerze dowiesz się m.in. jaki wpływ na Twoje życie ma muzyka, jaką książkę powinienes przeczytać w najbliższym czasie oraz jakie wydarzenie wywołało kontrowersję w świecie sportu.

Znajdą się także poważniejsze tematy, jak kwestia osoby duchownej postawionej przed sąd oraz jak rozumieć temat rozvodu kościelnego. Koniecznie zajrzyj do jednego z wywiadów a dowiesz się, jak wygląda życie wykładowcy poza murami uczelni. Miłej lektury!

Magdalena Mikołajczyk

P.S. Jednocześnie redakcja Sprężynki pragnie podziękować Szanownej Dyrekcji (Prof. dr hab. Andrzejowi Piaseckiemu oraz dr Małgorzacie Kmak) za pomoc i wsparcie naszych działań!

P.P.S. Wszystkich, którzy chcą opublikować swoje teksty, zapraszamy do współpracy. Zainteresowanych prosimy o kontakt z opiekunem Sprężynki: dr Karoliną Mania (karolina.mania@up.krakow.pl).

Redaktor:

dr Karolina Mania

Autorzy:

Angelika Czucha

Aleksandra Frączek

Magdalena Mikołajczyk

Krzysztof Orzeł

Agnieszka Rzeźnik

Dorota Surówka

SPRĘŻYNKA

gazetka studentów

Instytutu Prawa, Administracji i Ekonomii
Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN
w Krakowie

<http://prawo.up.krakow.pl/student/sprezynka-gazetka-studencka/>

kontakt: karolina.mania@up.krakow.pl

Od tańca do żeglugi- czyli jak pogodzić pracę z pasją

WYWIAD z dr Małgorzatą Kmak

Zastępcą Dyrektora Instytutu Prawa, Administracji
i Ekonomii, absolwentką UP

rozmawia Magdalena Mikołajczyk



Pani Doktor- zdecydowanie stoi Pani na szczycie rankingu, jeżeli chodzi o dialog ze studentami i mam wrażenie, że poświęca Pani pracy cały swój wysiłek. Czy jest możliwe oddzielenie życia zawodowego od prywatnego i mimo to pozostawienie w swoim działaniu części siebie?

Oddzielenie takie nie jest potrzebne, jeżeli jednocześnie kocham to, co robię. Kontakt z młodym człowiekiem zawsze był mi bliski. Mam na myśli oczywiście różne formy kontaktu z wami, na szczęście nie muszę i nie chcę ograniczać się jedynie do wygłaszanych wykładów czy prowadzonych w Uniwersytecie ćwiczeń. Najbardziej interesuje mnie chyba to, co wy możecie mi przekazać, wasz punkt patrzenia na świat, zawsze to wprowadza dużo „świeżości”. Zdecydowanie kontakt ze studentami jest dla mnie inspiracją, motywuje mnie do działania. Uwielbiam prowadzić seminaria licencjackie, często czerpię z nich nowe pomysły badawcze również dla siebie. Kontakt z młodymi ludźmi jest dla mnie w pewien sposób paradygmatem- punktem, z którego chcę patrzeć na świat, punktem wyjścia do czegoś więcej. Od ok. 5 lat jestem związana również ze środowiskiem szkolnym. Uczę WOSu i historii, prowadzę koła zainteresowań i przeróżne warsztaty dla dzieci i młodzieży. Praca z gimnazjalistami (która do łatwych nie należy) pokazuje, że są to ludzie, którzy dojrzejają i świetne jest móc zauważyć ich ewoluowanie. Czasem człowiek nie może powstrzymać nerwów na lekcji- nieraz uczniom mówię, że czuję się jak po tygodniu pracy w kamieniołomach (choć nigdy tam nie pracowałam), potem w domu oglądam „Młodych gniewnych”, reżyserii Johna N. Smitha. Trzecia klasa gimnazjum to już ludzie na poziomie, wdzięczni za wiedzę, umiejący uczestniczyć w dyskusji. Cenne jest to, że pamiętają moją naukę z każdej poprzedniej klasy i ich końcowe zachowanie jest już inne. Tak samo jest z wami. Na pierwszym roku studenci są wystraszeni, czasem niewidzialni, choć zdarzają się wybitne jednostki, wyróżniające ponadprzeciętny poziom lenistwa. Na drugim roku jest już inaczej, jesteście dojrzałsi, odważniejsi, kontakt z wami jest częstszy. Potem jest już bardzo dobrze... Przychodzicie z własnej woli, nie boicie się zadawać pytań, rozmawiamy, myślimy wspólnie nad wieloma kwestiami - co zmienić w Instytucie, jak napisać pracę licencjacką, albo by przeprowadzić wywiad do Sprężynki... To bezcenna wartość mojej pracy. Nie traktuję jej jedynie jako zawodu, ale jako coś zupełnie naturalnego- ponieważ to właśnie lubię.

Podobno interesuje się Pani tańcem. Skąd taka pasja i kiedy się rozwinęła?

W dzieciństwie chciałam być artystką, a najlepiej malarką. Szybko zorientowałam się, że nie mam talentu. Potem przyszedł taniec i ogólnie- muzyka. Śpiewać podobno umiem, ale brakuje mi odwagi. Od zawsze marzyłam o lekcjach tańca, ale jak wiadomo- wiążą się one z kosztami. Pochodzę z małej miejscowości, gdzie nigdy nie było większych możliwości rozwoju, i praktycznie żadnej szansy na szkołę tańca w najbliższej okolicy. Dopiero studia w Krakowie i pierwsza praca (sprzedawca w sklepie obuwniczym przy ul. Długiej) pozwoliły urzeczywistnić marzenia. Na ostatnim roku studiów magisterskich uczęszczając na różne kursy tańca próbowałam znaleźć to, co lubię. Zaczęłam od Salsy, potem był taniec nowoczesny, w międzyczasie Krakowiak i inne regionalne wygibasy... Na studiach doktoranckich dojrzałam do tańca klasycznego, zainteresowało mnie Tango. Pamiętam okres, kiedy potrafiłam każdego dnia uczestniczyć w kilkugodzinnych warsztatach tanecznych, a po lekcji i szybkiej toalecie pędziłam na tzw. „Milongę”- tangową imprezę taneczną. Tango jest jak narkotyk, innych nałogów nie mam. Wieczorami, kiedy tańczę, to mój święty czas. Szef wie i nie dzwoni, maile mogą poczekać, nie istnieją – tańczę!

Nie jest to moja jedyna pasja. Odkryłam drugą- żeglarsstwo. Znajomi zaproponowali rejs. Byłam przerażona. Wstyd się przyznać, nie potrafię pływać i w zasadzie boję się wody. Pojechałam na tygodniowy rejs do Grecji - niesamowite przeżycie. Odpoczęłam, nauczyłam się odpowiedzialności za siebie i innych, pracy zespołowej. Przeżyłam chorobę morską. Niestety, jest to pasja kosztowna - wymaga czasu, pieniędzy, patentów, szkoleń. Jednak nie zamierzam z niej zrezygnować. Czekam na wakacje i kolejny rejs.

Spędziła Pani pewien okres w Ameryce. Czy mogłaby Pani w skrócie opowiedzieć nam, na czym ta podróż polegała? Czy z tej podróży można wyciągać jakieś wnioski?

Miałam okazję uczestniczyć w projekcie, który umożliwił mi wyjazd do USA. Przeżyłam przygodę życia – tak mogę o tym powiedzieć. Wyjeżdżając tam, miałam kilka celów: zobaczyć Amerykę, ludzi tam mieszkających, przebiec słynne schody, które przebiegł Rocky Balboa, a przede wszystkim poznać społeczność Amisów. Przypominając sobie z perspektywy czasu ten wyjazd, dostrzegam inny główny cel – odważyć się wyjechać. Do NY jest kawał drogi, mentalność ludzi tam mieszkających jakże inna niż nasza... No i droga to podróż. Pamiętam, że zabrałam ze sobą wszystkie oszczędności. Miałam duży problem z przełamaniem bariery, aby pojechać gdzieś samemu. Podróż trwała 3 miesiące. Wszystkie założenia z wcześniej przygotowanej listy zrealizowałam i uważam, że ten wyjazd bardzo mnie zmienił. Poznałam ludzi, którzy pokazali mi otwartość, gościnność, oferowali pomoc zupełnie bezinteresownie. Wielu Polaków zapraszało mnie do swoich domów, pokazywali mi okolicę, piękne miejsca, o których nie było śladu w przewodnikach, wszystko to było bardzo spontaniczne. Mają w sobie taki „luz”, który mi imponuje. Luzu się nie nauczyłam, ale jestem bardziej spontaniczna, nie muszę mieć kalendarza by wiedzieć, jak żyć.

Może przyjdzie taki czas, że młodzi ludzie zmienią tę szarą rzeczywistość także tutaj. Czy ma Pani dla nich może jakieś konkretne rady?

Po pierwsze i chyba najważniejsze: nie bać się! Podróżować, kształcić się, otwierać na inne kultury. Twierdzą, że kultury muszą się przenikać. Musimy czerpać nowe wzorce nie dlatego, że nasze są złe. Posiadam ogromny szacunek do rodzimej kultury, zwłaszcza do tej południa polski, bo stamtąd pochodzę. Nie chodzi o to, że co inne jest gorsze czy lepsze; wręcz przeciwnie, jest ciekawe, frapujące, inspirujące.

Po drugie: mieć pasję, odskocznnię, która nadaje życiu sens. Ważne jest, by obok obowiązków i nudy mieć coś, co lubimy. Coś, czym rozładujemy negatywne emocje i naładujemy baterie. Nie bądźcie konformistami, nie wstyďte się najdziwniejszych zainteresowań, szydełkowanie nadal jest w modzie. Powtórzę cytata Stephena Kinga, którym miałam przyjemność powitać studentów w tym roku w naszym IPAE: „Nawet z pozoru najdziwniejsza, najskromniejsza pasja jest czymś bardzo, ale to bardzo cennym”.

O czasach studenckich, pracy naukowej, życiu poza uczelnią opowiedział nam dr hab. prof. UP Piotr Tusiński

rozmawia

Agnieszka Rzeźnik, Dorota Surówka

Jak wspomina Pan początki swoich studiów - nie tyle może pod kątem nauki, ale samego podejścia do studiowania. Czy wyobrażał sobie Pan wtedy przyszłość podobną, jaka jest ta w chwili obecnej? Czy dawniej rzeczywiście trudniej było studiować?

Złożone pytanie. Zacznę może od końca. Czy trudniej było studiować? W sensie formalnym tak, trudniej w ogóle było się dostać na studia, miejsc było w tamtych czasach mniej. Dziś studenci mają takie udogodnienia jak np. wpis warunkowy, wtedy taka możliwość praktycznie nie istniała. Jako przedstawicielowi organizacji studenckiej udawało mi się czasem wyjednać dla kogoś ze studentów, maksymalnie trzytygodniowy termin od zakończenia sesji i złożenie egzaminu poprawkowego. To mogło się odbyć w wyjątkowych sytuacjach życiowych. Jeżeli ktoś „zawalił” nawet jeden przedmiot, to brał urlop dziekański na następny semestr i po roku wracał by nadrobić semestr niezaliczony. Tak było na Wydziale Humanistycznym, na którym studiowałem pierwszy kierunek - historię. Na Wydziale Prawa zdarzało się, że bez zaliczonego przedmiotu przepuszczano studenta na kolejny i kolejny rok.



Mój promotor na kierunku prawo został kiedyś dziekanem. Po objęciu stanowiska zażyczył sobie, by przyniesiono mu dokumentację wszystkich studentów prawa i przez takie zaległości skreślił prawie ¼ studentów z listy. Zasada, która obowiązywała mówiła, że jeśli ktoś na pierwszym roku nie zaliczył jakiegokolwiek przedmiotu był wyrzucany ze studiów. Od II roku studiów w wyjątkowych sytuacjach życiowych była możliwość wpisu warunkowego. Studia to była społeczna nobilitacja, jedna z nielicznych w warunkach PRL - u. Dzisiaj trzeba być bardzo upartym, żeby nie skończyć studiów. Pod tym względem jeżeli chodzi o te rygoryzmy, studiowało się więc kiedyś trudniej. Natomiast były pewne ciekawsze elementy w tym studiowaniu. Wydaje mi się, że był mniejszy dystans między nauczycielem akademickim, a studentem niż dzisiaj.

Było dużo okazji na wspólne wyjścia i wyjazdy studentów z wykładowcami. Właśnie w zakresie stosunków międzyludzkich trochę lepiej się działo. Studia to najwspanialszy czas w życiu, bo wchodzi się w dorosłe życie. Osobom aktywnym studia dawały przepustkę do urzędzenia się w życiu, na ukierunkowanie się na pewną pracę. Tym sposobem zdobyłem pracę asystenta.

Pochodzę z Radomia, a studiowałem w Lublinie. Były nawet propozycje, że może bym tam został na asystenturę, ale stanowczo odrzucałem takie myśli, bo nie dało by się tego rozwiązać materialnie. W najlepszym przypadku, przy mocnych plecach, można było dostać pokój asystenta. Jak się nie miało jakiegoś wsparcia materialnego z domu, to urządzanie sobie życia w obcym mieście, nie wchodziło w rachubę. Marzyła mi się ta praca. W Radomiu była w tym czasie Wyższa Szkoła Inżynierska i utworzono w niej w 1979 roku Instytut Nauk Społecznych. Mój promotor pracy magisterskiej był człowiekiem mocno zaangażowanym, działaczem partyjnym, ale i niezmiernie porządnym człowiekiem. Mówił, że zna towarzyszkę w Komitecie Wojewódzkim i napisze do niej list, aby wystarała się o tę pracę dla mnie, mimo iż tak wtedy, jak i później do końca PRL - u byłem bezpartyjny. Dał mi do przeczytania ten list i okazało się, że on wcale jej nie znał, a mimo to napisał. To pismo do niej dotarło, potem przyszło pismo, że jestem wzywany do Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Nie wchodził tam nikt, kto nie był partyjny czy wysoko postawiony. Poszedłem, ta towarzyszka mnie przyjęła, zażyczyła sobie bym przyniósł pracę magisterską i od tego uzależniała dalsze kroki w mojej sprawie. Za jakiś czas znowu poprosiła bym przyszedł. Praca zrobiła na niej wrażenie i tak się to potoczyło. To była moja pierwsza praca, którą bardzo polubiłem. Mam to szczęście, że nie pomyliłem się w wyborze zawodu i bym go nie zmienił, chociaż miałem szanse na inny. Np. po ukończeniu prawa miałem kilka propozycji na podjęcie aplikacji adwokackiej, jednak nie widziałbym się na sali sądowej. Sąd to jest miejsce, którego ja organicznie nie cierpię.

Od najmłodszych lat bardzo trudno było mi nawiązać kontakt intelektualny z rówieśnikami. Przeważnie miałem kolegów, koleżanki w środowisku osób co najmniej 2, 3, nawet 4 lata starszych od siebie. Uważałem, że moi rówieśnicy to „intelektualne dzieci”. Nie znajdowałem z nimi wspólnego języka. To jak się żyło w tym świecie dorastających, trochę starszych, mocniej racjonalizujących swoje życie, udzielało mi się i zawsze starałem się im dorównać. Wracając do moich studiów, w ich czasie, jak się mówi starałem się „łapać życie”. Miałem wówczas wielu ciekawych kolegów, na tamte czasy światowych. Gdy byłem studentem istniało biuro podróży Almatu, które organizowało ciekawe imprezy zagraniczne. Korzystałem z tych możliwości bo byłem bardzo ciekawy świata. Mimo ogólnie ciężkich czasów nie narzekałem. Rodzice oczywiście mnie wspomagali, nawet nieźle, jak na ich skromne możliwości, ale ja też w czasie studiów potrafiłem sobie dorobić i to całkiem nieźle. Nie stroniłem od życia kulturalnego, żaden film mi nie przemknął w kinie, chodziłem do teatrów. Chwytałem życie całą piersią. To był wspaniały, piękny czas.

Ponieważ jest Pan spoza Krakowa - dlaczego akurat to miejsce Pan wybrał i czy jest ono przyjazne dla ludzi nauki?

To znowu krótkie, ale złożone pytanie. Ja oczywiście brałem pod uwagę możliwość pracy w Warszawie, bo tam robiłem doktorat, tam miałem kontakty naukowe itd. ale nie widziałem się w Warszawie, nie goniłem za pieniędzmi. W ogóle nigdy nie zakładałem zmiany miejsca pracy. Jak mówiłem wcześniej, pracowałem w Wyższej Szkole Inżynierskiej. W 1978 roku ta szkoła się usamodzielniała. Kiedy przyszedłem do niej na początku mojej pracy, to zatrudniano tam w tym czasie ponad 100 nowych osób, ale tak wówczas, jak i dziś uczelnia była niewielka. W 1996 roku przekształciła się w Politechnikę, ale taką, która zawsze miała wydział ekonomiczny. Środowisko było bardzo ciekawe, było z kim porozmawiać, pospierać się, rozwijać się intelektualnie. Potem w latach dwutysięcznych Politechnika zaczęła trochę „kuleć”. Było tego kilka subiektywnych i obiektywnych przyczyn. Przede wszystkim były to problemy finansowe uczelni. Ale może i ważniejsze było to, że wykładowcy i studenci coraz więcej stawiali na bylejakosć i mniej od siebie wymagali. „Rozmowa” u dziekana, która spotykała nieco ambitniejszych wykładowców przelała w moim wypadku czarę goryczy. Przyjąłem ofertę z Krakowa, która czekała na mnie już 5 lat.

Wydawać się może, że odległość z Radomia do Krakowa (blisko 200 km) jest zbyt duża, by podjąć tu pracę bez zmiany miejsca zamieszkania. Okazało się, że nie. Miło spędzam czas w trasie relaksując się przy muzyce, która stanowi jedno z moich hobby. Czyli odpowiadając na pytanie: Droga nie jest dla mnie uciążliwa, jest swoistego rodzaju relaksem.

W Krakowie znalazłem to, czego w Radomiu „skąpiło”. Jako młódzież jesteście nieporównywalnie bardziej ambitni, z takimi ludźmi o wiele lepiej się pracuje. Po drugie, tu jest bardziej rozbudowane środowisko naukowe. Dopiero tutaj mam możliwość recenzowania prac doktorskich. Jako sekretarz komisji uczestniczyłem w przewodzie habilitacyjnym, więc mam kontakt z tymi ludźmi, którzy chcą się realizować, o ambicjach naukowych. Opiekuję się też naukowo jedną czy drugą osobą, mam nadzieję, że skończy się to pracą dokorską. W moim przypadku jest to awans ze środowiska głęboko prowincjonalnego do obiektywnie mi przyjaznego oraz bliskiego moim zainteresowaniom naukowym. Powiem szczerze, że nie potrafiłbym się odnaleźć w takiej uczelni jak UJ czy Uniwersytet Warszawski. To byłby za duży przeskok z prowincji. Taka społeczność nadałaby mi status anonimowego, szarego człowieka, który sam swoją osobą nie jest w stanie niczego samodzielnie spowodować. Więc jeśli idzie o mnie to była zmiana jakościowa, radykalnie na lepsze. Myślę, że gdybym przyjął propozycję z Krakowa wcześniej, a nie po 5 latach, to byłbym o wiele dalej w swojej karierze naukowej, być może byłbym już profesorem tytularnym.

Utarło się przeświadczenie, że profesorowie, doktorzy a nawet nauczyciele zajmują się tylko i wyłącznie nauczaniem i badaniami naukowymi. Jeżeli odnajduje Pan w swoim grafiku wolny czas to czym go Pan wypełnia, jakie są Pańskie zainteresowania?

W zawodzie, który wybrałem sam mogę zarządzać swoim czasem. Mogę pracować nieustannie tydzień, miesiąc, rok czy dwa ale kiedy chcę mogę pozwolić sobie na autentyczny wypoczynek. Oczywiście czasem bywa go więcej, czasem mniej. Są też takie okresy w życiu, że nie tylko można realizować swoje pasje zawodowe, ale trzeba coś ograniczyć na jakiś czas aby poświęcić się na przykład rodzinie. Mieszkając i wychowując się na wsi w moim życiu nigdy nie brakowało i nie brakuje do tej pory kontaktu z naturą, który z resztą uwielbiam. Posiadam dużą działkę, można powiedzieć nawet, drobne gospodarstwo rolne, na którym się w jakimś stopniu realizuję, a raczej relaksuję poprzez uprawę warzyw, owoców, drzew. Daje mi to swego rodzaju luksus. Dzięki pracą ogrodniczym nie muszę chodzić na przykład na siłownię. W zupełności wystarcza mi to do utrzymania sprawności, kondycji fizycznej. Jestem również wielkim fanem siatkówki. Mimo iż nie miałem nadzwyczajnych warunków wzrostowych, bardzo lubiłem grać w piłkę siatkową. Do tej pory jeśli tylko czas na to pozwala staram się uczestniczyć jako kibic na meczach. Mając dwadzieścia pięć lat, nauczyłem się jeździć na nartach i od tamtej pory opuściłem tylko jeden sezon.

Co Pan Profesor myśli na temat studentów dzisiaj? Jakiej mają zalety a jakie wady?

Uważam, że zalety dzisiejszych studentów, mimo wszystko, dominują nad wadami. Macie ogromne możliwości – otwarcie na świat, pozyskiwanie wiedzy, informacji oraz najważniejszą, według mnie, zdolność szybkiej adaptacji. Za czasów mojej młodości ciężko było przystosować się do pewnych warunków. Dzisiaj jest to łatwiejsze. Ludzie wyjeżdżają za granicę, dosyć szybko potrafią się wtopić w tamtejszą rzeczywistość, znaleźć wspólny język. Daje wam to duże możliwości pracy a w efekcie znaczący awans nie tylko życiowy ale i materialny. Dzisiejsza młodzież jest ciekawsza pod względem zewnętrznym, wizualnym. Moda jest kolorowa, barwna. To wpływa na wrażliwość artystyczną. Jesteście, niewątpliwie bardziej ciekawi świata i otoczenia niż my byliśmy w latach naszej młodości – bardziej otwarci, dynamiczni, macie większe zdolności adaptacyjne.

Macie również wady, na przykład ten „książkowstręt”. To nie jest do końca wasza wina, jeżeli można to rozważyć w kategoriach winy. Dzisiejsza technika powoduje to przestawienie na świat wirtualny, o wielkiej dynamice idei i rzeczywistości. Również środowisko wymusza pewne rzeczy. Albo się jest albo się nie jest w tym wirtualnym świecie. To troszeczkę was odcina od czegoś, co nazwałbym głębią intelektualną, którą można znaleźć w książkach i w poważnych dysputach „face to face”. Szybkość przewijania się tych nowoczesnych narzędzi nie pozwala się zatrzymać w celu jakiegś głębszej refleksji nad „mieć czy być”.

Kolejną wadą jest brak komunikacji na linii wykładowca-student. Jeszcze parę lat temu ze studentami dużo więcej się rozmawiało. W tym momencie studenci przychodzą tylko załatwić jakąś sprawę zazwyczaj regulaminową, niezmiernie natomiast rzadko, by się czegoś dowiedzieć. Kiedyś przychodzili na rozmowę, o tym, o tamtym, bardzo często nawet o swoich życiowych problemach. Student miał świadomość, że ma do czynienia z bardziej doświadczonym, również życiowo, człowiekiem. Dzisiaj tego nie ma. Jesteście „samowystarczalni”, jeżeli chodzi o takie sprawy życiowe. Jest to o tyle nie dobre, że nie ma pełnego przekazu między pokoleniowego. Z rodzicami nie rozmawia się o wszystkim, z różnych względów, ale z obcymi można. Niezależnie od zdobywanej na uniwersytecie wiedzy, moglibyście więc skorzystać również na innych kontaktach z kadrą naukowo-dydaktyczną, pozyskać również doświadczenie i umiejętności, a więc coś co by się życiowo przydało.

Z notatnika klasyka - czyli edukacja muzyczna XXI wieku, w obliczu pogoni za karierą

Współcześnie jednym z dylematów młodych ludzi wkraczających w świat dorosłości jest decyzja wyboru pomiędzy nauką, karierą, a pasją. Chcielibyśmy przedstawić Wam wypowiedzi kilku studentów Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, którzy oprócz ścieżki naukowej podążali również muzyczną - czyli w pogoni za karierą, zdecydowali się spełniać również swoje pasje. Zapytani, chętnie udzielili nam wyczerpujących odpowiedzi na następujące kwestie: co nauka w szkole muzycznej im dała, dlaczego zdecydowali uczyć się muzyki klasycznej oraz dlaczego warto było poświęcić czas na taką edukację mimo, że nie mieli zamiaru wiązać z nią przyszłości zawodowo. A oto odpowiedzi, jakie otrzymaliśmy:

Jeszcze nie skończyłam tam [red. w szkole muzycznej] nauki, ale już teraz mogę powiedzieć, że mam na pewno więcej odwagi, umiejętności odnajdywania się w nagłych sytuacjach, radzenia sobie ze stresem(...)podczas poznawania nowych ludzi, doświadczenie obcowania na scenie i poza nią, radzenie sobie z krytyką swoją i innych, doskonalenie umiejętności wokalnych i artystycznych oraz muzycznych, jak i ruchowych- to wszystko można podpiąć również do pozytywów. (...)Poza tym to takie oderwanie się od rzeczywistości, zupełnie inny świat- polecam wszystkim, którzy się wahają. :)

Justyna, geografia

(...)Mimo licznych egzaminów, stresu i prób, muzyka wiele mnie nauczyła, m.in. wrażliwości, koncentracji, systematyczności w nauce. Nie wiążę jednoznacznie z muzyką przyszłości, lecz jest to dobra alternatywa, gdyby jednak plany w życiu ułożyłyby się inaczej. Gra na fortepianie sprawia mi niesamowitą przyjemność i jest to coś, co w trudniejszych chwilach podnosi mnie na duchu, w okresie sesji- relaksuje, a na co dzień daje dużo radości.

Aleksandra, administracja

Myślę, że uczęszczanie do szkoły muzycznej bardzo poszerzyło moje horyzonty, ponieważ zdobyłam wiedzę np. w dziedzinie historii muzyki albo nauczyłam się analizować utwory muzyczne ze względu na epokę, z jakiej pochodzą.(...) Od zawsze lubiłam śpiewać i myślę, że umiejętności nabyte podczas śpiewania przydają mi się również w życiu codziennym. Mimo, że zajęcia pochłaniają sporo czasu bardzo cieszę się z tego, że zdecydowałam się na naukę w szkole.

Zuzanna, malarstwo

(...)Oprócz edukacji muzycznej szkoła muzyczna była moim drugim domem, wiele mnie nauczyła - odkrywałam siebie oraz poznawałam nowych, wspaniałych, utalentowanych ludzi. Stres przed egzaminami był wielki, jednak instrument zdałam wzorowo.(...) Nie wyobrażam sobie życia bez muzyki, bo to przecież ważny element każdej kultury. Kocham grać i śpiewać, muzyka mnie oczyszcza, spełniam swoje pasje na 100%.

Edyta, bioinformatyka

Podsumowując, chcielibyśmy zachęcić Was, drodzy Studenci, do aktywności, działania, rozwijania hobby i pasji. Nie tylko tych muzycznych! Muzyka jest jedną z form, która może Was niesamowicie udoskonalać i wiele nauczyć. Nasz Uniwersytet ma Wam również coś do zaoferowania, są to różnorakie koła zainteresowań, zajęcia sportowe, czy muzyczne. Z pewnością każdy znajdzie coś dla siebie!

Aleksandra Karolina Frączek

Czego nie wiesz o Krakowie...

Czy przechadzając się rynkiem głównym, urokliwymi uliczkami Krakowa lub plantami zastanawiałeś się kiedyś, ile tajemnic oraz historii kryją w sobie te stare miejsca? W tym artykule dowiesz się, ile magii kryje w sobie Kraków!

Czy słyszałeś kiedyś o Willi Rożnowskich?

Historia Willi Rożnowskich rozpoczyna się w 1891 roku, kiedy na niepewnym zalewowym gruncie rozpoczęto jej budowę. Budynek znajdował się niemalże naprzeciwko Wawelu. Jak to więc możliwe, że ówczesne władze pozwoliły na budowę? Jeżeli choć trochę znasz Kraków, może Ci się wydawać, że Willa zakłóca porządek, nie pasuje do tego miejsca – w końcu załania wspaniały widok. Otóż patrząc na dzisiejsze mapy, dawna willa znajdowała się przy dzisiejszej ulicy Zamkowej. Wtedy jednak była to część wsi Dębники, a miejsce, na którym wzniesiono budynek nazywano Cyplem Dębnickim.

Sięgając do archiwalnych zapisów możemy się dowiedzieć, że willa została sfinansowana przez Idę i Edwarda Rożnowskich – znaną rodzinę, która zajmowała się produkcją i sprzedażą środków czystości oraz znanego do dziś mydła *Biały Jeleń*.

Neogotycki budynek posiadał trzykondygnacyjną część po stronie wschodniej, dwukondygnacyjną część środkową oraz czworoboczną wieżę zwróconą w kierunku północno-zachodnim, przykrytą dachem w kształcie ostrosłupa. Całość posiadała czerwoną elewację wykonaną z surowej cegły.



W 1920 roku willa stała się własnością Skarbu Państwa. Przez kolejne 14 lat znajdowała się w niej siedziba Dyrekcji Dróg Wodnych. Niestety przez liczne powodzie, które w tych czasach nawiedzały Kraków, w 1938 roku podjęto decyzję o rozbiórce budynku.

Gdyby okazała Willa Rożnowskich przetrwała do dziś, jestem pewna, że byłaby jedną z najdroższych i najbardziej rozchwytywanych nieruchomości w Krakowie.



Zdjęcia:

Narodowe Archiwum Cyfryzacji, *Wylew Wisły podczas powodzi*, dostęp on-line:
<https://audiovis.nac.gov.pl/obraz/97416/>, [23.11.2017].
- pierwsze zdjęcie

Narodowe Archiwum Cyfryzacji, *Dom Wojewódzkiego Urzędu Budowy Dróg Wodnych*, dostęp on-line:
<https://audiovis.nac.gov.pl/obraz/92277/b41f605d8c0af91ff147ec0450fe157d/>, [23.11.2017].
- drugie zdjęcie

Dorota Surówka



Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet

Stieg Larsson, urodzony w 1954 r., szwedzki pisarz, którego pierwszą literacką fascynacją wcale nie były kryminały, a science-fiction. Przyczyną śmierci był zawał serca, prawdopodobnie spowodowany prowadzeniem niezdrowego trybu życia, objawiający się m.in. w nienawiści do sportu. Plotki głoszą, że dziennie wypalał około 60 papierosów, a w jego żyłach zamiast hemoglobiny płynęła kofeina. Feministyczne poglądy oraz wrażliwość na przemoc wobec kobiet znajdowały odzwierciedlenie w powieściach.

"Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet" Stiega Larssona to z pewnością Kryminał przez duże K, a dzięki doskonale skrojonym sylwetkom bohaterów można go również rozpatrywać jako thriller psychologiczny. Niezwykle zawiła historia, charakterni bohaterowie, mnóstwo wątków pobocznych, które w błyskotliwy sposób łączą się ze sobą oraz napięcie budowane do samego zakończenia. A gdy wydaje Ci się, że znasz odpowiedź na pytanie: "kto zabił?", autor z największą premedytacją uciera Ci nos i wprowadza w jeszcze większe przysłowiowe maliny. Co jakiś czas wyjmuje również z przeszłości bohaterów istotne fakty, które rzucają światło na psychologiczne mechanizmy, kierujące ich poczynaniami.

Jedną z głównych postaci jest Mikael Blomkvist, bezkompromisowy dziennikarz, wobec którego wszczęte zostało postępowanie o zniesławienie. Okryty złą sławą rezygnuje z obowiązków służbowych. Po wydanym wyroku, odliczając dni do odsiadki, otrzymuje zlecenie spisania dziejów jednej z najbardziej wpływowych rodzin, które jednak okazuje się tylko pretekstem do próby rozwiązania zagadki związanej z tajemniczym zaginięciem Hariett Vanger. Gdy śledztwo doprowadza Blomkvista do nazistowskiej przeszłości wpływowej rodziny, niespodziewanie zyskuje sojusznika, Lisbeth Salander, genialną hakerkę, zajmującą się poszukiwaniem informacji na zlecenie. Gdybym zdefiniowała ją jako silnie zarysowaną osobowość, byłoby to zbyt powierzchowne określenie. To kobieta z pewnością budząca skrajne emocje, w większości przypadków skrajnie negatywne. Po złłączeniu sił szybko udaje się im wpaść na trop krwawej i mrocznej historii rodzinnej.



Z pełną odpowiedzialnością polecam tę lekturę, a jednocześnie ostrzegam, że jest to niewątpliwy pożeracz czasu! Zalecamy w szczególności podczas sesji, gdy mamy do wyboru pozamiatanie pustyni lub wkuwanie kodeksów i rozwiązywanie kazusów, a od artykułów i paragrafów mamy zawrót głowy.

P.S. Dla spragnionych większej ilości wrażeń dodam, że „Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet” to pierwsza powieść wchodząca w skład trylogii *Millennium*. Zatem do dzieła!

Angelika Czucha

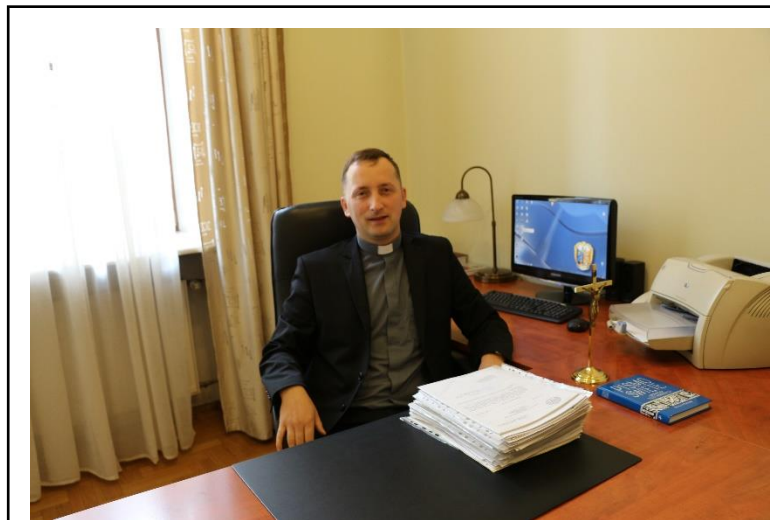
WYWIAD z ks. dr n. praw. Rafałem Wierzchanowskim rozmawia Agnieszka Rzeźnik

Rozmowa z ks. dr n. praw. Rafałem Wierzchanowskim – Oficjałem Sądu Diecezjalnego w Tarnowie, między innymi o tym, czym zajmuje się ta ważna instytucja, czy istnieje „rozwód kościelny”, a także czy prawo kanoniczne potrzebuje reformy.

Czym właściwie zajmuje się sąd diecezjalny? Jak w zarysie wygląda struktura sądu? Jakie zadania pełni Ksiądz Oficjał?

Sąd diecezjalny jest sądem kościelnym umocowanym w prawie kanonicznym, który w imieniu biskupa wykonuje w diecezji władzę sądowniczą, z wyjątkiem tych spraw, które on sam dla siebie zarezerwował. Generalnie przedmiotem postępowania sądowego jest dochodzenie lub obrona uprawnień osób fizycznych lub prawnych albo stwierdzenie faktów prawnych (np. nieważności małżeństwa). Ponadto na drodze sądowej (choć nie wyłącznie) dokonuje się wymierzenie lub deklaracja kary, np. ekskomuniki. Należy dodać, że sąd diecezjalny nie zajmuje się sporami powstałymi w wyniku decyzji kościelnej władzy administracyjnej, np. zaskarżeniem decyzji o usunięciu proboszcza z urzędu; sprawy te mogą zostać wniesione wyłącznie do kompetentnego przełożonego lub do trybunału administracyjnego. Sąd kościelny rozstrzyga zatem sprawy dotyczące rzeczy duchowych i związanych z duchowymi, a także zajmuje się ustaleniem winy i wymierzeniem sankcji kanonicznych w przypadku przekroczenia ustaw kościelnych oraz innych, w których mamy do czynienia z grzechem. Gdy chodzi o strukturę sądownictwa kościelnego, należy pierwszorzędnie zauważyć, że z racji prymatu Biskupa Rzymskiego każdy wierny może swoją sprawę, zarówno sporną, jak i karną, przenieść do rozpatrzenia Stolicy Świętej lub do niej ją wnieść. Oczywiście istnieją sądy I instancji (np. diecezjalne) i II instancji – inaczej apelacyjne (np. metropolitalne).

Kościół ma prawo do swoich sądów, jak również do kierowania się swoimi normami prawnymi. To wynika nie tylko z natury i posłannictwa Kościoła jako instytucji, ale również jako przestrzeni, gdzie prym wiedzie prawda. Niniejsze uprawnienie Kościoła uznaje również prawo państwowe. Wystarczy wspomnieć chociażby takie akty prawne jak *Konkordat* (art. 1, 5 i 10 – Dz.U. 1998 nr 51 poz. 318) czy *ustawę o stosunku Państwa do Kościoła Katolickiego w Rzeczypospolitej Polskiej* z 17 maja 1989 r. (art. 2 – Dz.U. 1989 Nr 29, poz. 154 z późn. zm.). Wszystkie te akty prawne wpisują się w treść *Konstytucji RP* z 1997 r. (np. art. 53 – Dz.U. 1997 nr 78 poz. 483). Warto w tym miejscu przypomnieć, że *Konkordat* – zgodnie z art. 90 *Konstytucji* – jako umowa



międzynarodowa ratyfikowana stanowi część porządku prawnego w Polsce i ma pierwszeństwo przed ustawą. Nie tak dawno przypominał o tym Naczelny Sąd Administracyjny. Można zatem powiedzieć, że z punktu prawa świeckiego sąd diecezjalny to tzw. *inny organ orzekający* i dlatego osoby prowadzące tu sprawy mogą np. ubiegać się o wydanie dokumentacji medycznej czy informacji o zamieszkaniu osoby strony procesowej (w sytuacji, gdy nie jest znany jej aktualny adres zamieszkania).

Sąd diecezjalny podlega władzy biskupa, który jest jego moderatorem. Oczywiście w zwyczajnych sytuacjach, zgodnie z przepisami prawa, biskup nie sprawuje bezpośrednio władzy sądowniczej. Owszem, zawsze może sądzić, bo jest pierwszym sędzią, ale to uprawnienie (ze zwyczajną władzą) w jego imieniu wykonuje Oficjał, czyli – posługując się terminologią świecką – prezes sądu. Oprócz oficjała, który kieruje pracami sądu, w trybunałach kościelnych są jeszcze wiceoficjałowie, sędziowie, audytorzy, notariusze, adwokaci, biegli sądowi i inni dopuszczeni zgodnie z przepisami prawa do udziału w procesie (np. pełnomocnicy, kuratorzy).

Co w sytuacji gdy osoba duchowna trafia przed państwowy sąd? Czy wobec takiej osoby toczy się także osobny proces w sądzie kościelnym?

To zależy z jakiego tytułu trafia przed państwowy sąd. Jeżeli trafia z tytułu sprawy cywilnej to nie staje przed sądem kościelnym, bo ta kwestia jest jakby wyłączona spod jurysdykcji kościelnej (np. sprawy o spadek). Natomiast, gdy w sądzie powszechnym toczy się proces np. karny albo postępowanie wyjaśniające, to wtedy jest również ta osoba wzywana do odpowiedzialności przed kościelnym wymiarem sprawiedliwości.

Oficjałowie przestępstwo w prawie kanonicznym ma trochę inną definicję niż w ustawach państwowych: to nie tylko dokonanie czynu zabronionego przez ustawę, ale także czynu, który chociaż nie jest wprost opisany przez normę prawną to jednak powoduje jakieś zgorszenie albo krzywdę.

Upraszczając, zakres przestępstwa w prawie kościelnym jest nieco szerszy niż w prawie cywilnym (nie tyle chodzi o liczbę i rodzaje przestępstw, ale stosunek czynu dobra Kościoła, sprawiedliwości i moralności). W Kościele zawsze najważniejszym i najwyższym prawem jest zbawienie dusz i dlatego wszystkie delikty osób świeckich i duchownych (czyli wiernych), które powodują negację tego dobra albo sprawiają czyjąś krzywdę, podlegają jurysdykcji sądowej. Naturalnie należy pamiętać o zasadzie generalnej ujętej w kan. 18 Kodeksu prawa kanonicznego, zgodnie z którą ustawy karne podlegają ścisłej interpretacji.

Co do procesów karnych, to te w kościele odbywają się dwoma drogami. Jedną ścieżkę stanowi proces karno – sądowy, szczegółowo opisany w Kodeksie. Ale jest też tryb administracyjno - karny i jest to tryb nieznany prawu cywilnemu dlatego, że opiera się na bezpośredniej władzy biskupa. Każdy biskup ma w Kościele partykularnym (jakim jest np. diecezja), pełnię władzy wykonawczej, sądowniczej i ustawodawczej. Władzy ustawodawczej biskup nie może nikomu delegować. Władzę wykonawczą sprawuje bezpośrednio i za pomocą wikariuszy generalnych i wikariuszy biskupich. Natomiast władzę sądowniczą zazwyczaj wykonuje przez sąd, ale może także każdą z tych władz wykonywać osobiście. Musimy pamiętać, iż ze względu na hierarchiczny ustrój Kościoła (pochodzący z ustanowienia Bożego) nie ma tu znanego w państwie trójpodziału władzy (wiadomo, że papież jest najwyższym sędzią w kościele, najwyższym ustawodawcą i rządcą, a od jego decyzji nie ma odwołania). Biskup diecezjalny wykonuje władzę sądowniczą także za pośrednictwem procesu administracyjno – karnego (tak wobec osoby świeckiej jak i duchownej). Oczywiście na tę okoliczność wyznacza swojego delegata, a delegat mianuje dwóch asesora (pomocników), notariuszy, itd. Jest tu przewidziana cała procedura. Na koniec biskup w specjalnym dekrete wydaje decyzję o odpowiedzialności za czyn bądź też uniewinnieniu. Szczegółowe normy dotyczące prawa karnego materialnego i procesowego zawarte są w Księdze VI Kodeksu prawa kanonicznego. Tak wydany dekret ma tę samą moc co wyrok sądowy, a w związku z tym, podobnie jak od wyroku, tak od dekretu przysługuje prawo odwołania (apelacji) do odpowiednio wyższej instancji.

Mówiąc o sankcjach w Kościele należy zaznaczyć, że kościelne prawo karne nie tylko jest zawarte w Kodeksie (który jest na pewien sposób ustawą zasadniczą - *lex fundamentalis*), ale również w innych ustawach pozakodeksowych wydawanych zazwyczaj przez Stolicę Apostolską. Przepisy bardzo często są odpowiedzią na współczesne zdarzenia, o których czasem rozpisują się media. Chodzi o czyny szczególnej szkodliwości, które w prawie kościelnym są o wiele bardziej surowo karane niż państwowym prawem karnym. Przykładów jest wiele (np. kwestia przedawnienia), ale trudno opisywać tu szczegółowo te kwestie.

A co z „rozwozem kościelnym”? Jest to bardzo interesujący temat tym bardziej przez to, że przecież właściwie rozwodów w Kościele nie ma.

Zasada jest jedna: w Kościele nie ma rozwodów. Z pewnością chodzi Pani o proces dotyczący stwierdzenia nieważności małżeństwa, którego celem jest odpowiedź na pytanie: czy małżeństwo zawarte przez konkretne osoby zostało ważne zawarte, a więc czy ukonstytuował się węzeł prawny (naturalny lub sakramentalny). Wyroki, które zapadają w tych sprawach w naszych sądach mają charakter deklaracyjny, nie konstytutywny. A zatem wyrok stwierdzający nieważność małżeństwa nie tworzy nowej rzeczywistości, jak to jest chociażby w przypadku rozwodu bądź instytucji unieważnienia cywilnego. Przy sentencji pozytywnej stwierdza się, że od chwili wyrażenia zgody małżeńskiej (nazywanej w prawie cywilnym oświadczeniem woli), małżeństwo albo istniało od samego początku i w związku z tym jest ważne, albo nigdy nie istniało (a więc nigdy też nie było sakramentem). Stąd po wyroku stwierdzającym nieważność małżeństwa kanonicznego, osoba jest stanu wolnego i może – o ile nie zachodzą inne przeszkody - zawrzeć związek małżeński (tym razem ważny). Przyczyny nieważności małżeństwa określa Kodeks. Generalnie wiążą się one z przeszkodami zrywającymi (np. przeszkoda pokrewieństwa, wieku, impotencji), wadami zgody małżeńskiej (np. podstęp, błąd, przymus, symulacja, brak używania rozumu, niedojrzałość) czy wadami formy kanonicznej. Wiadomo, że małżeństwo katolika wymaga zachowania formy przypisanej przez prawo i jeżeli mamy jej brak (czyli defekt), to małżeństwo jest nieważne.

Aktualnie w sądach kościelnych toczy się bardzo wiele procesów o stwierdzenie nieważności małżeństwa. W naszym na wokandzie jest blisko ok. 800 spraw. Większość z nich dotyczy niezdolności do zawarcia małżeństwa z przyczyn natury psychicznej (a więc np. poważnych zaburzeń, nałogów i innych patologii, które istniały już w chwili wyrażania zgody małżeńskiej). Zawsze istotne jest to, czy ów defekt bądź ustanowiona prawem przeszkoda istniała w chwili wyrażania zgody małżeńskiej. Jeżeli osoba była zdolna do małżeństwa w chwili wyrażania konsensusu, to późniejsze jej sprawowanie się nie ma bezpośredniego wpływu na ważność małżeństwa. Takie procesy są z reguły długotrwałe, gdyż zawsze chodzi o prawdę i powagę dla sakramentu.

Czy Sąd Diecezjalny zajmuje się również sprawami ludzi świeckich i pracowników kościelnych? Instytucje kościelne i parafie zatrudniają często takie osoby.

Sąd w swojej kompetencji może zajmować się sprawami ludzi świeckich i pracowników kościelnych w takiej mierze jak to zostało określone w ustawie. To znaczy, tam gdzie nie ma sprawiedliwości i komuś dzieje się krzywda, tam zawsze można dochodzić swoich praw w sądzie kościelnym. Jednak ze względu na egzekutywę sądu państwowego, tego typu sprawy zazwyczaj dokonują się na forum sądów powszechnych, a nie kościelnych.

Jakie według Księdza Oficjała należy podjąć zmiany w Kościele, by prawo kanoniczne było lepiej przestrzegane, bardziej zrozumiałe, a sprawy mogły być szybciej rozstrzygane? A może reformy w tym względzie w Kościele nie są konieczne?

Jeżeli chodzi o przestrzeganie i rozumienie prawa kanonicznego, to należałoby wdrożyć postulat, o którym mówi wielu profesorów zajmujących się prawem interdyscyplinarnie, tj. rzeczywistego nauczania na uniwersytetach prawa kanonicznego. To przyczyniłoby się nie tylko do właściwego poznania historii prawa, ale również służyłoby zrozumieniu porządku kanonicznego i wzajemnej współpracy między Kościołem, a instytucjami państwowymi. Ta znajomość prawa kanonicznego wydaje się być dzisiaj nagląca, tym bardziej, że spraw o stwierdzenie nieważności małżeństwa jest coraz więcej. To oznacza zapotrzebowanie na osoby wykwalifikowane, które mogłyby np. pełnić funkcję adwokata. Zresztą uczelnie w Warszawie, Lublinie i Krakowie pokazują, że są to kierunki bardzo popularne. Jak powiedziałem prawo kanoniczne pozwala na udział adwokata w procesie z tym, że ten adwokat musi mieć ukończone studia z prawa kanonicznego (przynajmniej licencjackie) oraz – zgodnie z wymogami prawa procesowego – być zatwierdzony do tego zadania. Wtedy taki adwokat jest zatwierdzany do procesu.

Ponadto większemu zrozumieniu i poznaniu prawa kościelnego służą organizowane sympozja i konferencje, zwłaszcza te interdyscyplinarne, dotyczące problemów na styku prawa kościelnego i państwowego. Do czego zmierzam? Weźmy choćby sprawę ochrony danych osobowych. Mamy ciągle zmieniające się ustawy, dyrektywy unijne i Kościół jako instytucja gromadząca tego typu musi odpowiednio modyfikować swoje prawo i procedury. Mimo, że Kościół jest względem państwa autonomiczny i niezależny (co gwarantuje mu konstytucja i konkordat) to jednak zawsze wychodzi naprzeciw współczesnym wyzwaniom. Tymi sprawami w Polsce zazwyczaj zajmuje się tzw. *Komisja Konkordatowa* składająca się z członków Rządu i Episkopatu. Ustalenia tego ciała mają moc obowiązującą.

Co do reformy prawa kanonicznego, to prawo to jest ciągle reformowane. Ciągłe wydawane są nowe ustawy, instrukcje, dekrety. Prawo karne jest dostosowywane do dzisiejszych bądź byłych zdarzeń. Myślę, że prawo kanoniczne zmienia się często i na prawdę idzie „z duchem czasu”. Nie wysuwałbym wniosku, że jest to prawo archaiczne, bo gdybyśmy dzisiaj zestawili wszystkie ustawy okołokodeksowe z Kodeksem, to tych pierwszych (co do stopnia uszczegółowienia) byłoby więcej. Ostatni Kodeks został promulgowany w 1983 r., ale późniejszych zmian było naprawdę dużo. Dla sądu kościelnego największa zmiana dokonała się w 2015 roku przez wydanie przez papieża Franciszka Motu Proprio *Mitis Iudex Dominus Iesus*. W uproszczeniu można powiedzieć, że jest to dokument reformujący proces małżeński kanoniczny, wprowadzający tzw. *proces skrócony wobec biskupa*. W tym procesie jedynym sędzią jest biskup i stosuje się go, jeżeli obie strony proszą o stwierdzenie nieważności małżeństwa. Ta nieważność małżeństwa musi być tak oczywista, iż zbędne jest prowadzenie zwykłej instrukcji sprawy. Innymi słowy, strony dysponują tak oczywistymi dowodami (np. dokumentami medycznymi czy zeznaniami świadka kwalifikowanego), że prowadzenie zwykłego dochodzenia byłoby bezzasadnym przeciąganiem sprawy. Nowością tej reformy jest także brak obowiązku dwóch zgodnych wyroków (decyzji) dotyczących nieważności małżeństwa. Innymi słowy, gdy po wydaniu wyroku pozytywnego na poziomie pierwszej instancji nie wniesiono – zgodnie z przepisami prawa – apelacji, to wyrok ten staje się definitywny i wykonalny (oczywiście należy pamiętać, że sprawy dotyczące nieważności małżeństwa nie przechodzą w stan rzeczy osądzonej, ale to już inna kwestia).

Dziękuję za rozmowę. Chcę zaznaczyć, że w żadnej mierze nie jest ona systematycznym wykładem na temat konkretnej gałęzi prawa kanonicznego, ale bardzo ogólnym i uproszczonym dyskursem mającym na celu przybliżenie czytelnikowi niektórych aspektów prawa kościelnego; prawa, którym warto się zainteresować.

„Do svidaniya, czyli najwięksi nieobecni piłkarskiego mundialu w Rosji”

Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej zbliżają się wielkimi krokami. Tradycyjnie już, jak ma to miejsce od 1998 r. wystąpią na nich 32. reprezentacje krajów ze wszystkich kontynentów. Eliminacje do nadchodzącego turnieju przyniosły jednak sporo niespodzianek, a nawet sensacji.

Największym nieobecnym zbliżającego się turnieju jest zdecydowanie reprezentacja Włoch. Czterokrotni mistrzowie globu trafili do trudnej grupy eliminacyjnej, w której prym wiodła Hiszpania. *Azzurri* o awans na mundial musieli walczyć w spotkaniach barażowych ze Szwecją. O wyniku dwumeczu zadecydowała bramka strzelona przez Jakoba Johanssona w pierwszym spotkaniu. Brak awansu przyczynił się do zwolnienia z funkcji trenera Italii Giampiero Ventury, a żywa bramkarska legenda, czyli Gianluigi Buffon, jak i inni zawodnicy - Giorgio Chiellini, Daniele De Rossi i Andrea Barzagli zdecydowali się na przedwczesne zakończenie kariery reprezentacyjnej, które pierwotnie planowane było na koniec Mistrzostw Świata.



Na nadchodzącym wielkim turnieju kibice nie zobaczą także reprezentacji Holandii. Brązowi medaliści poprzedniego mundialu w Brazylii, na etapie kwalifikacji znaleźli się w „grupie śmierci” m. in. z Francją i Szwecją. „Pomarańczowi” musieli uznać wyższość właśnie tych dwóch ekip, kończąc eliminacje na trzecim miejscu. Nieobecność Holendrów na turnieju w Rosji oznacza, że reprezentacja zaliczana do ścisłej czołówki światowego futbolu XXI wieku, nie zagra na drugim wielkim turnieju z rzędu (w 2016 r. nie zakwalifikowali się na Mistrzostwa Europy we Francji).

Szanse na awans w kuriozalnych okolicznościach straciła reprezentacja Chile. „La Roja” przegrała swoje ostatnie grupowe spotkanie z Brazylią 0:3 i spadła na 6. miejsce, co oznaczało koniec marzeń o wyjeździe na mistrzostwa (automatyczną kwalifikację ze strefy południowoamerykańskiej uzyskują cztery najlepsze drużyny, zaś piąta gra w barażach). Sytuacja w przypadku Chilijczyków jest o tyle ciekawa, że w meczach Peru - Boliwia i Chile - Boliwia, w drużynie Boliwii zagrał Nelson Cabrera, który nie przebywał w swoim kraju przez 5 ostatnich lat i wedle regulaminu FIFA nie mógł zagrać w tych spotkaniach. Chilijscy działacze wychwycili ten błąd, a wyniki obydwu meczów zostały zweryfikowane jako walkower. O braku awansu zawodników „La Roja” zadecydowały właśnie punkty przyznane przy „zielonym stoliku” i w ostatecznym rozrachunku tuż przed nimi z taką samą ilością oczek, lecz z lepszym bezpośrednim bilansem spotkań uplasowali się.... Peruwiańczycy.

Sporym zaskoczeniem będzie także nieobecność reprezentacji Stanów Zjednoczonych, która na piłkarskim mundialu występowała nieprzerwanie od 1990 roku. Amerykanie w kompromitującym stylu przegrali ostatni mecz eliminacyjny w strefie CONCACAF z outsiderem Trynidadem i Tobago, co w kraju uznano za „katastrofę narodową”. Potknięcie to wykorzystały reprezentacje Hondurasu oraz Panamy, która pierwszy raz w swojej historii wystąpi na turnieju rangi piłkarskich Mistrzostw Świata.

Na boiskach w Rosji nie zobaczymy kilku reprezentacji uchodzących za światowych potentatów, przez co turniej dla niektórych kibiców może być mniej emocjonujący. Trzeba także pamiętać, że na mundial nie pojadą również gwiazdy z innych, mniej znaczących w hierarchii światowego futbolu krajów, jak chociażby Walijczyk Gareth Bale, Gabończyk Pierre-Emerick Aubameyang, Ormianin Henrich Mchitarjan, Słowak Marek Hamsik czy Austriak David Alaba. Mimo wszystko zbliżające się Mistrzostwa Świata będą z pewnością turniejem, który przyciągnie miliony ludzi emocjonujących się boiskowymi wydarzeniami nie tylko na stadionach, ale i przed telewizorami.

Krzysztof Orzeł



*Kot najedzony to kot szczęśliwy -
mój jest zawsze głodny.*

*Po co mieć 16 kwiatków
na parapecie skoro można mieć
kilka, a ładne.*

*To, że ktoś ma IOS (red.:
indywidualny tok nauczania)
nie oznacza, że jest wolnym
elektronem.*

dr Damian Gil

*Zawód komornika
dedykowany jest ludziom
zwichrowanym psychicznie.*

*Wypowiedź oceniam
na dolne granice stanu
średniego.*

prof. Andrzej Piasecki

dr Tomasz Szelaąg